



**Niedawno odwiedziliśmy rejon Małego Labiryntu - parku, którego teren wyznaczają dziś ulice: Hucisko, Wały Jagiełłońskie oraz Targ Rakowy. Sto lat temu był to jeden z najpiękniejszych zakątków Gdańska. Niewiele zachowało się w tej okolicy starych domów. Większość z nich legła w gruzach podczas ostatniej wojny. Dziś zajrzemy właśnie do jednej z takich kamienic.**

## Pejzaż z bukietem fiołków

W obszernym przewodniku poświęconym Danii i południowemu wybrzeżu Bałtyku z roku 1902, Karl Baedeker zawarł garść najistotniejszych wiadomości także o Gdańsku. Na niespełna dziewięciu stronach podał mianowicie to, co z punktu widzenia ówczesnego wojazera wydawać się mogło naprawdę ważne, ciekawe i godne zapamiętania.

Liczba mieszkańców Gdańska sięgała wówczas stu czterdziestu tysięcy i szybko wzrastała. W ciągu kilkunastu ostatnich lat XIX w. miasto zmieniło się nie do poznania. Oto bowiem zniwelowano otaczające je od stuleci wielkie wały obronne, zasypano fosy, budować zaczęto szerokie i wygodne trakty komunikacyjne. Powstał nowoczesny, jak na owe czasy dworzec kolejowy oraz liczne gmachy użyteczności publicznej.

Na początku naszego stulecia wciąż jeszcze świeżością lśniła Wielka Synagoga. Kompleks Wyższej Szkoły Technicznej (obecnej Politechniki Gdańskiej) znajdował się właśnie w budowie, na miejscu zaś dawnej fosy biegnącej, przed jej zasypaniem, tuż przy Bramie Wyrzyńskiej dopiero planowano wzniesienie okazałego pomnika ku czci Wilhelma I. Gdańszczanie wiedzieli już wszakże, iż zostanie on wkrótce zrealizowany wg projektu rzeźbiarza Börme-la, a wyobrazać będzie cesarza na koniu w otoczeniu postaci alegorycznych i symboli.

Dobrze miała się stocznia wojenna zwana Cesarską, którą w połowie XIX wieku organizować zaczął gdańszczanin Edward Karol Jachmann, późniejszy kontradmirał i dowódca bazy floty pruskiej na rejon Bałtyku, przyjaciel pruskiego księcia Adalberta. Na Wester-

platte udawano się dla relaksu, kąpeli morskich i na smażonego węgorza.

Dwór Artusa, ze zdołującym jego wnętrze wielkim kafłowym piecem i XVIII-wiecznym marmurowym pomnikiem polskiego króla Augusta III, pełnił wciąż jeszcze funkcję giełdy towarowej. Przeto w godzinach tuż popołudniowych panie nie miały do niego wstępu. Męską bowiem rzeczą było ustalanie cen na zboże i tkaniny.

Przyjezdni mieli do wyboru aż trzynaście hoteli i pensjonatów. Po większości z nich nie ma już śladu. Zniknęły z powierzchni: dumny „Reichshof” i „Continental”, „Hotel St. Petersburg” i „Pod Trzema Murzynami”. Jeden wszakże z mniejszych gdańskich hotelików przetrwał, zupełnie jakoś dotąd nie zauważony, a przecież bardziej jest on obecny w naszej literaturze pamiętnikarskiej, aniżeli pamiętający pobyt Matejki „Hotel du Nord” przy Długim Targu.

Chodzi o hotel „Zum Stern” (Pod Gwiazdą), położony tuż przy samym Kanale Raduni. Tańszy, aniżeli inne gdańskie zajazdy, dysponujący zwykle wolnymi „numerami”, chętnie odwiedzany był przez Polaków. Malownicze sąsiedztwo Małego Labiryntu (hotelik bowiem znajdował się przy Targu Siennym 4) dodawało mu swoistego uroku. To właśnie tutaj trafił pod koniec kwietnia 1901 roku młody lwowski naukowiec Przemysław Dąbkowski. Oto kilka refleksji z jego pobytu w tym domu:

„Właścicielem był Niemiec, typowy, solid-

ny i jowialny Otton Böhm. Jego córka Trudi, której mój tytuł doktora bardzo imponował, młoda i sentymentalna, zdawała się okazywać wiele zainteresowania „Zwierciadłem Saskim”, które właśnie wtedy studiowałem w wolnych chwilach. Nie mogła wyjść z podziwu, że ja Polak, chociaż w języku nowożytnym niemieckim nie byłem tak biegły, lepiej rozumiałem ten język staroniemiecki, aniżeli ona Niemka (...). Panował w tym hotelu nastrój prawie rodzinny, wszyscy goście stawali się jakby członkami rodziny gospodarza, na głos dzwonka zasiadali do wspólnego stołu z go-

zdołałem jednak sprawdzić - napisze po latach z wyraźną kokieteryą - od kogo pochodziły bukietki skromnych fiołków, jakie od czasu do czasu znajdowałem w swym pokoju hotelowym”

Stara kamienica przy Targu Siennym 4, tylekroć później zmieniająca swą funkcję, przetrwała koszmar roku 1945. Tuż po ostatniej wojnie na parterze, tam gdzie od kilkudziesięciu już lat mieści się „Foto-Słońce”, urządzono oddział PKO. Funkcję jego kierownika powierzono wówczas Witoldowi Korzeniowskiemu. Przybył do Gdańska jako były więzień oflagu.

spodarzem i jego rodziną. Ten zwyczaj bardzo mnie ujął, a muszę przy tym zaznaczyć, że nigdy z powodu mej narodowości nie doznałem nawet najmniejszej przykrości. Hotel ten istniał od roku 1895 do roku 1919, w którym został zdjęty.”

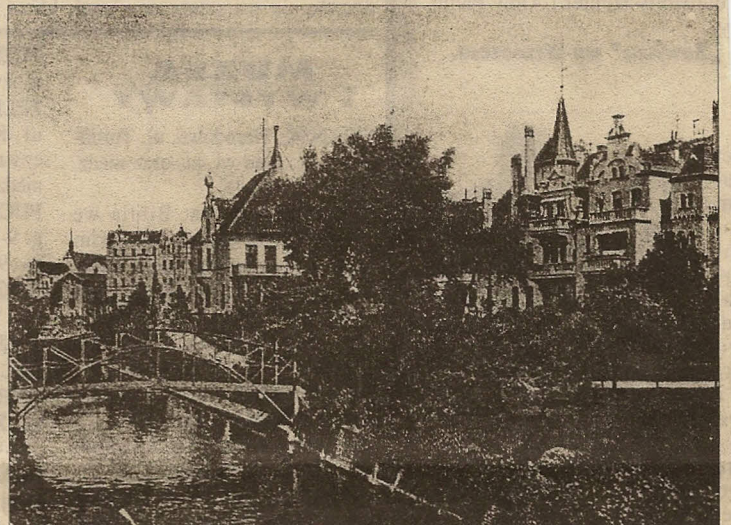
Autor tych wspomnień pracował w Gdańsku nad materiałami dotyczącymi ustaw polskich epoki Zygmuntońskiej. Studiował je na trzecim piętrze Ratusza Głównomiejskiego, tam bowiem mieściło się wówczas jeszcze Pruskie Archiwum Państwowe.

Przemysław Dąbkowski zachwycił Gdańsk dawny i nowy, nawiązujący swym stylem do historycznej architektury. Ubolewał, iż z braku czasu i środków nie zdołał poznać bliżej okolicznych Kaszubów. Z każdej swej wycieczki powracał do przytulnego hoteliku „Pod Gwiazdą”, gdzie rodzina gospodarza, szczególnie zaś jego młodziutka córka Trudi, oczekiwała go, jak kogoś bliskiego. „Nie

Pochodził z ukraińskiej miejscowości Hadicz. Nie zaprzeczał, że spokrewniony był z wielkim pisarzem Józefem Conradem Korzeniowskim, którego imię nosi od niedawna pobliska Wojewódzka Biblioteka Publiczna.

Gdańsk, ze swoją bogatą historią i zabytkami, stał się z czasem wielką pasją pana Korzeniowskiego. Na temat tego miasta sporo publikował, a także mówił na antenie radiowej. Znałby także jako przewodnik i działacz PTTK. Zmarł w 1976 roku. Jego małżonka, pani Aleksandra mieszka tu do dziś. Niedawno opowiedziała mi o problemach obecnych mieszkańców dawnego hotelu „Pod Gwiazdą”. Dom ten, przeznaczony już w latach 60. do rozbioru, stoi nadal nad kanałem Raduni, choć nie widać tu gospodarza z prawdziwego zdarzenia, który pospieszyłby ratować mocno już zniszczoną budowlę o jakże ciekawej historii.

Jerzy Samp



Okolice „Małego Labiryntu”. Zdjęcie sprzed I wojny światowej.



**Autorzy wszystkich niemal dawnych relacji na temat Wielkiej Zbrojowni i jej wyposażenia silnie akcentowali panujący tu porządek a przede wszystkim piękno i estetykę przestronnych pomieszczeń. Podkreślano też rangę artystyczną wielu demonstrowanych eksponatów oraz dekoracyjność wnętrza przyozdobionych m.in. dziesiątkami zdobycznych chorągwi.**

## Przybytek Marsa i Minerwy (2)

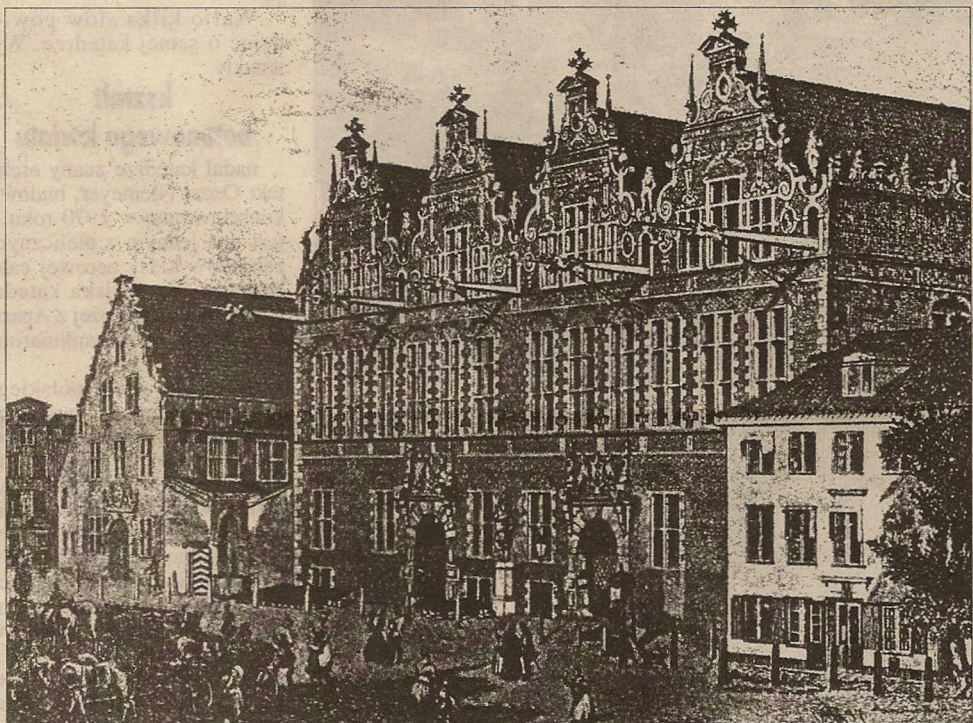
Pisząc o tej budowli zwracałem dotąd uwagę głównie na jej militarny charakter. Nie bez powodu nazwałem jednak ów arsenał pierwszym w mieście muzeum a zarazem swoistym gabinetem osobliwości.

Wracając do tego właśnie wątku, proponuję obecnie przyrzeć się nieco bliżej jego artystycznemu wyposażeniu. Jak bowiem wynika ze sporządzonych kilka wieków temu opisów, arsenałowe wnętrza zdobiły liczne obrazy i dzieła sztuki. Z oczywistych względów dominowała w nich tematyka batalistyczna, jednak autorzy wspominają także o portretach królów polskich i szczególnie dla miasta zasłużonych postaci. Johann Christopher Wedeke pisał nawet o złotej koronie, „która miała być polską koroną” oraz o licznych rzeźbach.

Przez długie lata podziwiano złożony w Wielkiej Zbrojowni alabastrowy pomnik nagrobny wyobrażający szwedzkiego króla Jana III z koroną na głowie i berłem „wysadzonym kunsztownie fałszywymi kamieniami”. Ufundował go dla upamiętnienia postaci ojca, król Zygmunt III Waza, zaś autorem powstałego w roku 1593 dzieła był znany gdański artysta Wilhelm van den Block. Rzeźba przeleżała w arsenał blisko dwieście lat. Dopiero w 1782 roku zabrano ją z Gdańska, by kilkadziesiąt lat później umieścić w katedrze w Uppsali.

Innym posągami, którego geneza do tej pory nie została do końca wyjaśniona była marmurowa podobizna św. Wojciecha. Podobno w XVIII wieku zasewestrowano ją z powodu nierytualności zamawiającego w porcie gdańskim, po czym, nie bardzo wiedząc, co z nią począć, umieszczono w Zbrojowni. Dopiero w 1 poł. minionego wieka władze miasta przekazały figurę kościołowi w Świątyni Wojciechu, gdzie pozostaje ona do dziś.

Osobny temat to ów sławny „atr figur” stanowiący praw-



Wielka Zbrojownia od strony Targu Węglowego wg sztychu z pierwszej połowy XIX wieku.

dziwą atrakcję tego miejsca. Już kilkanaście lat po wzniesieniu budowli Marton Scombor tak o tym pisał: „wszedłszy zaś do środka, ujrzysz trzy kukły, które nim dotkniesz, uważać będziesz za żyjące. Ubrane są w drogie szaty kitajkowe i sukienne niczym jakowis rycerze. Oczy ich nigdy nie spoczywają, lecz obracają się nieustannie budząc grozę. Kukły często głowami wstrząsają, a rękami grożą. W dłoni jedna z nich dzierży samopał, z którego byłoby mi zapewne wymierzyła w głowę, gdyby mnie od niej w porę nie odsunęto”.

Podobną funkcję spełniały również postacie czterech jeźdźców odzianych w zbroje i dzwigających długie kopie. Urządzone je w taki sposób, by za sprawą wprawionej przez puszarza w ruch machiny, figury zwracały się ku sobie i krzyżowały kopie. Fundatorami dwóch z nich byli: książę orański Maurycy

oraz gdańszczanin Bartłomiej Schachmann.

„W jednej z sal jest niby-kaplica - napisze w roku 1792 Stanisław Fiszer (przybyły adiutant Kościuszki i generał) - gdzie na tronie siedzi bóg Mars otoczony żołnierzami, ma na głowie koronę a w ręku buławę. Gdy się wchodzi do tej sali wstaje bóg Mars z tronu, kłania się i znowu siada. Dobosz przed nim stojący bije marsz, fajfer gra na piszczałce, żołnierze na szeldwachu stojący oczami ruszają, co wszystko przez mechanikę się dzieje”. Goszczący tu w 1803 roku po-

sag Kozaka z leżącą u jego stóp głową mołdawskiego rzekomo-bojara, którego miał on ściąć na rozkaz króla Stefana Batorego.

Dopóki gospodarzem Wielkiej Zbrojowni były władze wojskowe, nie udawało się tam urządzić ani ekspozycji muzealnej (by odciążyć w ten sposób Zieloną Bramę), ani też dokonać adaptacji wnętrza na salę widowiskową. Z planami takimi rozszono się bowiem już około roku 1905. Tuż po I wojnie światowej część pomieszczeń oraz tzw. Starą Aptekę, przeznaczono na warsztaty teatralne. Natomiast w przyziemi urzą-

eta Michał Wyszkowski doda zaś wierszem:

„Na boku w laury przybrani na głowie

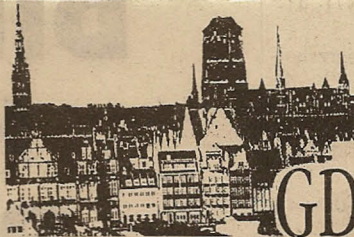
Na Marsa polscy patrzą się królowie”.

Niestety, były to już ostatnie lata świetności gdańskiego arsenału. Rok 1807, kiedy budowlę tę przekształcono w lazaret, a potem czasy napoleońskiego Wolnego Miasta Gdańska spowodowały całkowite ogołocenie Zbrojowni z jej cennego wyposażenia. Odtąd zwiedzający Gdańsk pisarze opiewać będą już tylko bryłę szacownej budowli. „Co w środku? - zapyta w roku 1881 Stanisław Tamowski - pruskie karabiny zapewne i piękne sklepienia podobno, których widzieć nie można, bo do środka nie puszczają. Z dawnego arsenału (...) nie zostało nic”. Autorzy przeto zwracać będą uwagę głównie na obie bogato zdobione fasady, misternie kute kraty oraz na ów osobliwy po-

dzono pasaż handlowy z luksusowymi sklepami, w tym także z bursztynową biżuterią i antykwarem dzieł sztuki. Dodajmy wreszcie, że poczynając od lat dwudziestych, we wnętrzu Wielkiej Zbrojowni organizowano wystawy dzieł sztuki.

W pewnym więc sensie kontakt z muzami i twórczością artystyczną został tutaj zachowany. Prawdziwym jednak ukoronowaniem starań i spełnieniem marzeń ludzi pragnących by budowla ta służyła sztuce, było przeniesienie w roku 1954 Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych z Sopotu do Gdańska. Fakt powierzenia przed czterdziestu laty Wielkiej Zbrojowni tej właśnie uczelni definitywnie kończy się zdaje militarny wątek dziejów renesansowej budowli. Odtąd stworzony przez van Obberghena stary gdański „cekhauz” słusznie mienić się będzie arsenalem sztuki.

Jerzy Samp



# KARTKI GDAŃSKIE

**„Arsenał przedstawia kolosalną budowlę z prześliznym frontem ozdobionym czterema wysokimi szczytami i dwoma osmiokątnymi wieżyczkami; ze lśniących się od złota i jaskrawych kolorów ozdób, którymi przednia fasada nieco obciążona, najpiękniejszymi są posąg Minerywy i studnia w kształcie świątyni pomiędzy dwoma wejściami umieszczona”.**

przysadzistych słupach z granitu, autorzy wspominali o armatach, haubicach, garlaczach, kulach żelaznych, kartaczownicach oraz rozmaitych machinach wojennych służących do „szybkiego wyrzucania płomieni”.

Musiało to sprawiać niemałe wrażenie, skoro goszczący tu w roku 1630 poeta czeski Wacław Klement napisał: „Jeśli Gdańsk kiedyś tylko spostrzeże, że zagraża jego głowie jakieś niebezpieczeństwo, że grożą jego murom jakieś szkody, to ufając tej swojej sile, uderzy na wroga i wstrząśnie całym niebem od burzliwego huku. Przyjmie

dumą demonstrowano tu również tę, która dawno wyszła z użytku, a więc, jak niegdyś mawiano - starożytności militarne, w tym: tarcze rycerskie, kusze, zbroje i kopie, maczugi, uprząż konną, topory, broń białą, częstokroć w niezwykle misterny sposób zdobioną itp.

Poczynając od wieku XVII, budowała ta była poniekąd także gabinetem osobliwości. W jej wnętrzu można było podziwiać np. urządzenie mosiężne przypominające pompę, a wykorzystywane do gaszenia pożarów. Przechowywano tam dźwignię, za pomocą której czterech mężczyzn potrafiło

## Przybytek Marsa i Minerywy

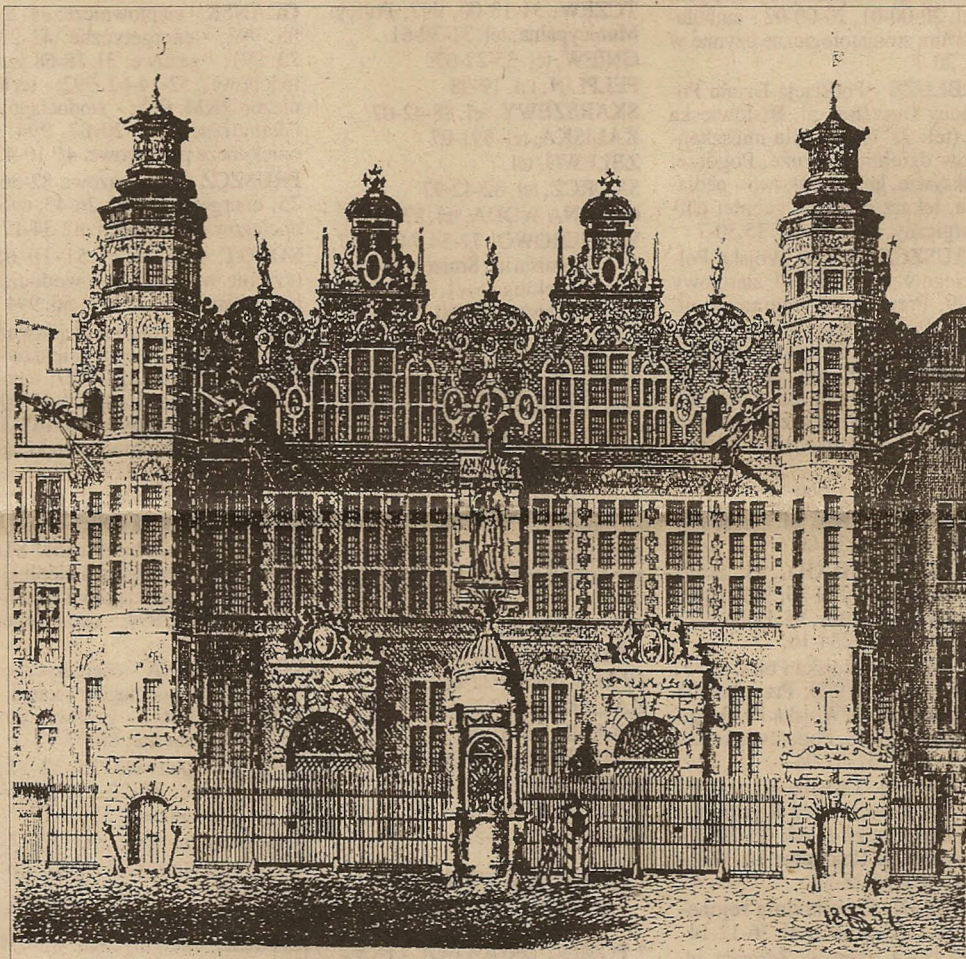
Wielka Zbrojownia wzniesiona w latach 1601-1609 wedle reguł flamandzkiej szkoły architektonicznej i w duchu manieryzmu niderlandzkiego - to jedno z najznakomitszych dokonań Antoniego van Obberghena. Realizację wystroju rzeźbiarskiego, który jeszcze w roku 1885 wzbudzał zachwyty cytowanego powyżej Konstantego Damrota, twórca powierzył Wilhemowi Bartowi oraz Abrahamowi van den Blocke. Pracami murarskimi kierował natomiast Jan Strakowski.

Ten pierwszy w mieście z prawdziwego zdarzenia arsenał broni powstał w rejonie rozebranego fragmentu średniowiecznych murów obronnych Głównego Miasta, niemal dokładnie tam, gdzie wcześniej istniała Baszta Łaziebna oraz jedna z najstarszych w mieście łaźni (XIV-XV w.), o której kształcie, niestety, nic nam nie wiadomo. Musiano też wyburzyć kilka średniowiecznych kamienic przy ul. Tkackiej.

Ta najokazalsza ze świeckich budowli dawnego Gdańska słuszenie zaliczana bywa przez fachowców do szczytowych osiągnięć nie tylko gdańskiej, ale i europejskiej architektury renesansowej. Tworzą ją niejako cztery bliźniacze, w jedną całość połączone, potężnych rozmiarów kamienice. Zbrojownia wprawiała w podziw zarówno swą funkcjonalnością, architektoniczną harmonią bryły, jak i przepychem dekoracji.

Główną fasadę, a więc tę od ulicy Piwnej, zdobią dwa portale zwieńczone herbami Gdańska adorowanymi przez kamienne lwy pełne ekspresji. Specjalną niszę w górnej kondygnacji przeznaczono dla rzeźby Pallas Ateny - bogini wojny i mądrości, utożsamianej z Minerywą, a więc rzymską boginią m.in. sztuki. Zwracają tu także uwagę postaci wojowników, rozmaite sfinksy i maskarony, a wreszcie także wspomniana przez Damrota kamienna studzienka służąca dawniej do wydobycia z arsenałowego podziemia kamiennych i żeliwnych kul.

Budowała ta, choć to przede wszystkim przybytek Marsa i



Wielka Zbrojownia - rycina J. K. Schultza z 1857 r.

tycznych arsenałów, których wartość i wyposażenie objęte były militarną tajemnicą i pilnie strzeżone przed wścibskim okiem potencjalnych szpiegów. Wprost przeciwnie, obiekt ów miał raczej charakter budowli otwartej, i każdy kto tego pragnął, mógł go sobie zwiedzać do woli.

Można tu chyba mówić o zamierzonej strategii ojców miasta. O tym zaś, że odwiedzających gdański arsenał nigdy nie brakowało, świadczą bogate w szczegóły i bardzo liczne relacje rozmaitych podróżopisarzy, którzy uwiecznili na kartach swych dziarńszych obraz Wielkiej Zbrojowni wraz z dokładnym wizerunkiem jej wnętrza.

Naturalnie dminowały tu militaria, i te dość skrupulatnie wyliczano - tak więc niszac o

dzielnie tym orężem szalonych wrogów. Kimkolwiek jesteś, odważ się tylko zuchwalcze, a nie ujdiesz kary, bo miasto to wie, jak ma traktować swych tyranów”.

W tym kontekście warto też przypomnieć treść łacińskiego napisu, jaki zdobi fasadę Wielkiej Zbrojowni. Brzmi on: „FELIX EST CIVITAS, QUAE TEMPORE PACIS COGITAT DE BELLO” (Szczęśliwe miasto, które i w dobie pokoju myśli o wojnie).

Nie zapominajmy jednak o tym, że renesansowy nasz arsenał był czymś daleko więcej, aniżeli tylko magazynem broni rozmaitego rodzaju i kalibru. Nie pomylimy się określając Wielką Zbrojownię mianem pierwszego w nadmottawskim grodzie muzeum. Jak bowiem

bez trudu przenosić 70-centnarowe ładunki miedzi, gdzie im się żywnie podobało, jak też wielki, ze spżu odłany przyrząd matematyczny „do liczenia i obserwacji gwiazd sposobny”, i tajemniczą kulę z kamienia, zaopatrzoną w żelazny uchwyt, którą mimo solidnych rozmiarów „nawet dziewczyna zdołała o własnych siłach podnieść”.

Nie wiedzieć czemu, arsenał nasz już w pierwszym stuleciu jego istnienia upodobały sobie muzy. Może miała na to jakiś wpływ Minerywa, bądź co bądź czczona przecież niegdyś także jako bogini rzemiosła, sztuki i literatury. To nie przypadek, że od czterdziestu lat w budowlę tej mieści się zastłżona Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. Do tego uogólnie



## KARTKI GDAŃSKIE

**Odkąd nad brzegiem Motławy, w miejscu zwanym Lastadią budować zaczęto drewniane statki, zapanował tam wielki gwar. W 2 połowie XIV w. nikomu jednak nie przyszło do głowy, by plac, o którym tu będzie mowa, kojarzyć z masłem. Szkutnicy, cieśle okrętowi, kotwicznicy, ludzie trudniący się wyrobem powrozów, żagli oraz rozmaitych detali niezbędnych do wyposażenia morskich statków - oto rzemieślnicy, którzy nadali wówczas temu placowi taki a nie inny charakter.**

Średniowieczne dzieje małopolskiego niegdyś rejonu Podwala Przedmiejskiego to temat ważny i wielce interesujący. Przyjrzyjmy się jednak bliżej jego nowszej historii. Regres szkutniczego rzemiosła na tym terenie wiązać trzeba z działalnością konkurencyjnej stoczni zwanej Brabancją (u ujścia kanału Raduni do Motławy), a także konsekwencjami wojen szwedzkich.

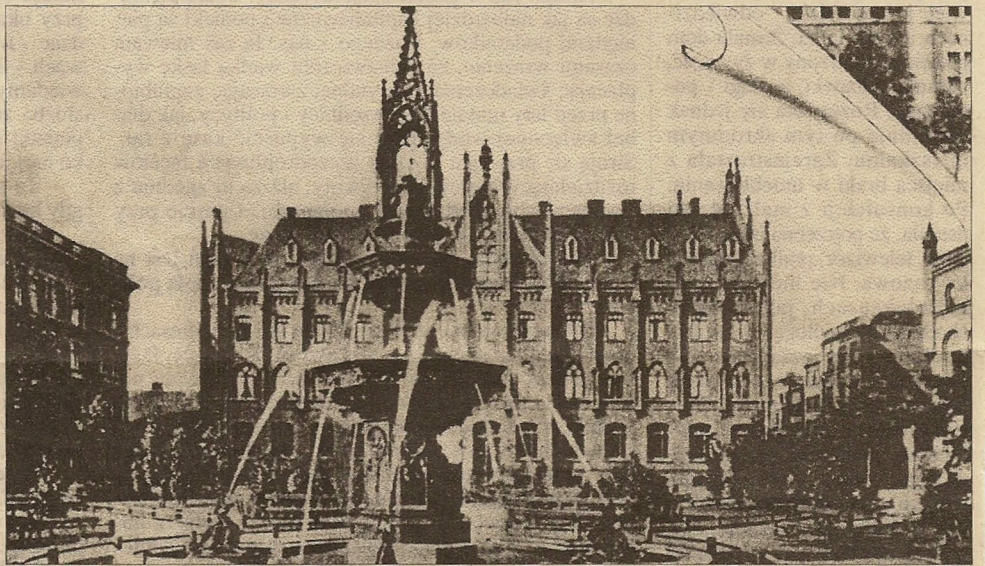
W miejscu, gdzie jeszcze do niedawna powstawały wielkie drewniane statki, handlować zaczęło z czasem nabiałem. Tak więc około roku 1650 część wielce zastróżonej Lastadii otrzymała „urzędową” nazwę Targu Maślanego, która obowiązywała aż do końca XIX wieku.

Zaiste rzadki to w dziejach Gdańska przypadek, by historyczną nazwę przemianowano po to, by upamiętnić konkretną postać. To prawda, że w roku 1897, kiedy Targowi Maślanemu nadano imię Leopolda von Wintera, nikt tu już nie sprzedawał masła, ale przecież nie handlowano wówczas sianem przy Targu Siennym, węglem przy Targu Węglowym, a tym bardziej rakami przy Targu Rakowym. A jednak tamtych nazw nikt nie ważył się wówczas tknąć. Kimże zatem był ów Winter i jakich to dokonał czynów, że postapiono na przekór wiekami uświęconej tradycji?

Pochodził ze Świecicia, gdzie w roku 1823 przyszedł na świat w rodzinie tamtejszego pastora i superintendenta. Prawo handlowe i nauki ekonomiczne studiował w Berlinie. Kiedy go wezwano do Gdańska, by powierzyć mu najbardziej odpowiedzialny urząd w mieście, liczył zaledwie czterdzieści lat. Był już wówczas doświadczonego urzędnikiem administracji pruskiej. Poznał pracę landrata i rady w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych oraz prezydenta policji w Berlinie.

Cieszył się opinią energicznego reformatora, a zarazem zwolennika najbardziej radykalnych rozwiązań w dziedzinie urzędów komunalnych. Urząd nadburmistrza Gdańska objął

# Z dziejów wody



Plac Wintera z dawną fontanną, widokówka z okresu międzywojennego (fragment)

pod koniec roku 1862. Kiedy zaś po 27 latach pracy na tym stanowisku zegnał się z tym miastem jako honorowy jego obywatel, Gdańsk wyglądał już zupełnie inaczej.

Podczas jego kadencji trwającej ponad ćwierć wieku, zniknęły z pejzażu nadmotławskiego grodu obszerne fragmenty dawnych fortyfikacji, stare bastiony, bramy, fosy, kanały i kanaliki, za sprawą których Gdańsk tak bardzo przypominał niegdyś Wenecję. Wyburzeniu uległy dziesiątki zabytkowych kamieniczek i historycznych budowli. Z ulic znikać zaczęły, jakże dla tego miasta charakterystyczne przedproża. Powstawały zaś coraz to nowe, na szczęście nawiązujące do stylów historycznych, gmachy banków, szkół i urzędów. Ulice stają się odtąd coraz szersze i mają już własne chodniki.

Wielu tradycjonalistów (nie tylko zresztą lokalnych) nie mogło mu tego darować i nigdy nie wybaczyło Winterowi, że swym postępowaniem doprowadził do unicestwienia znacznej części

zabytkowej substancji miasta. O wiele więcej było jednak tych, którzy wielbili go za to, że w nadmiernie już ciasnym grodzie nadmotławskim zaczęło się żyć jakby nowocześnie, a przede wszystkim zdrowiej. Przeobrażenia owe dotyczyły głównie takich dziedzin jak: komunikacja miejska, przemysł stoczniowy i szkolnictwo. Radykalnie poprawił się, i to już u progu lat 70., stan sanitarny.

W tym miejscu należy przypomnieć, iż własne wodociągi posiadał Gdańsk od czasów krzyżackich. Na teren Głównego Miasta woda docierała wówczas poprzez drewniane rury (łączone na ołów) z Potoku Siedleckiego. Czerpano ją także

sześć. wody. Maksymalnie zaś Gdańsk otrzymywał spod Pręgowy do ponad 12 tysięcy m sześć. wody na dobę.

Historia budowy potężnego rezerwuaru usytuowanego w bliskim sąsiedztwie oruńskiego parku to temat sam w sobie. Wspomniałem o niej w wydanej przed kilku laty monografii Oruni. Ta osobliwa i doskonale zachowana budowla od prawie dwudziestu lat już, niestety, bezużyteczna i pusta, czeka teraz na gospodarza z prawdziwego zdarzenia. Może się ona stać nie lada atrakcją, przy odrobinie wyobraźni. Szkoda, jeśli miałyby ulec bezmyślnej dewastacji.

Niedawno zaproponowałem lokalnej telewizji SKY Orunia

wprost z kanału Raduni. Jedyne zamożniejsi pozwolić sobie mogli na zdrową wodę źródłaną, którą dowożono do miasta w specjalnych cysternach. O kanalizacji nie było jeszcze mowy przez długie stulecia. Można więc wyobrazić sobie, co działo się tu podczas obłożenia i gdzie tkwiły prawdziwe źródła nekających Gdańsk tak często epidemii.

Prawdziwym cudem ówczesnej techniki było doprowadzenie dobrej wody pitnej z odległego od Gdańska blisko 20 km ujęcia nie opodal Pręgowy. Realizację ambitnego przedsięwzięcia, uznanego przez znawców problemu za pierwsze tego rodzaju rozwiązanie w Europie, nadburmistrz Winter powierzył berlińskiej firmie J. i A. Aird. Żelazny rurociąg o średnicy 418 mm doprowadzał wodę najpierw do wielkiego ceglanoego rezerwuaru. Zbudowano go na wierzchołku odległego o ponad 14 km od miejsca ujęcia wzgórze morenowego na Oruni.

Ow gigantyczny zbiornik pomieścić mógł pięć tysięcy m

filmową penetrację ogromnej niczym świątynia podziemnej hali o niesamowitej akustyce oraz scenerii. Wkrótce wyemitowany zostanie specjalny na ten temat program. Z pewnością dla wielu osób będzie on sensacją i zaskoczeniem.

Wracając zaś do postaci nadburmistrza Wintera, dodać wypada, że w uznaniu zasług dla miasta, któremu służył, gdańszczanie nie tylko nadali mu za życia honorowe obywatelstwo, a cztery lata po śmierci nazwali jego imieniem dawny Targ Maślany, lecz wzniesli tam także jedną z piękniejszych fontann miejskich (dziś nie pozostał po niej nawet ślad), do której woda popłynęła oczywiście z oruńskiego rezerwuaru.

O tym, że po II wojnie światowej przemianowano plac Wintera (Winter to po niemiecku „zima”) na plac Zimowy (!) - zapomnijmy jak najszybciej, bo to wstyd. Niechże już lepiej miejsce to zwie się po dawnemu Targiem Maślanym.

Jerzy Samp

# Kolebka i trumna

**Niewiele osób zwiedzających Gdańsk zapuszcza się aż tak daleko. Obszar miasta położony u ujścia kanału Raduni do Motławy, zaznaczony na niektórych planach jako Zamczysko przysiadający z nim Osiek, uchodzący, niestety, za mniej atrakcyjny i mniej bezpieczny od uczęszczanych traktów. Czy jednak teren ten musi już pozostać takim na zawsze?**

Stan zaawansowanej dewiacji kamieniczki piwowarskiej przy ul. Rycerskiej 10 (do tej III-wiecznej budowli zajęliśmy w naszym cyklu przed tygodniem), to niejako podkowa blisko pięćdziesięcioletnich zaniedbań ze strony gospodarzy tego rejonu. Domy, że chodzi nie tylko o zaczęte działania czasu, lecz również o akty nasilającego się roku na rok wandalizmu.

Wspomniany zespół budowlanych sąsiaduje bezpośrednio z okazałym spichrzem miodowym (ul. Czopowa 5). Wzrosty ten gmach, który w przeszłości „kondycji” przetrwał gwałtowny dla miasta rok 1945, doprowadzony został do stanu używalności przez jego użytkowników, kolejne zaś władze konserwatorskie okazywały się wobec bezradne wobec popadającego w ruinę obiektu. Wzrost tej sześciokondygnacyjnej budowli o ciekawej fasadzie jeszcze pół roku temu zakończyła osadzona na miedzianej kuli, pokryta grynszpami, autentyczna XVIII-wieczna chorągiewka z inicjałami oraz datą.

Rzadki ów zabytek, jeden z najcenniejszych już tej klasy w Gdańsku, padł niestety łupem złodziei, którzy pozostawili po sobie tylko sznur. Nie straszna dla nich ani wysokość, ani katastrofalny stan techniczny, zniszczenia budowli. Na sokości pierwszej kondygnacji fasady wzniesionej z czerwonej cegielki o jasnej barwie widnieje wykuta w kamieniu tablica z napisem „Das Malz-Haus. G+K, Anno 1507”. Czy i ona podzieli niewiele los miedzianej chorągiewki wiatrowej i takiej kuli

ze szczytu, o której zawartości zapewne już nigdy się nie dowiemy? A może całość runie którejś sztormowej nocy, podobnie jak gotycka Baszta pod Zrębem?

Obszar zwany Zamczyskiem to najstarsza, grodowa część Gdańska. Już tysiąc lat temu w rejonie dzisiejszych ulic: Sukienniczej, Na Dylach, Czopowej, Rycerskiej i - nomen omen - Grodzkiej wznosił się „Gedanensis castrum” z siedzibą tutejszego feudała (księcia, bądź jego namiestnika). Była też rybacko-rzemieślnicza dzielnica. Z czasem zbudowano również kolegiatę i urządzono cmentarz. Około wieku XIII mogło tu mieszkać blisko dwa tysiące ludzi. Gród książęcy rozwijał się i pełnił swą funkcję państwową aż do czasów panowania Władysława Łokietka, ściślej zaś do roku 1308, kiedy to podstępnie zdobyli go Krzyżacy.

Wzniesli oni na jego miejscu w latach 40. XIV w. ceglany zamek mający otąd służyć ich komturom oraz załozce gdańskiego konwentu. Jak wynika z ustaleń prof. Mariana Biskupa, Zamek Wysoki, otoczony fosą, miał kształt czworoboku, z którego wyrastała jedna wielka i kilka mniejszych wież. Zamek posiadał własną kaplicę i bibliotekę, refektarz i szpital. Przystępu do niego, prócz murów i fosy, strzegła zwrócona frontem do miasta Baszta Rybacka.

Spośród wielu rezydujących na zamku komturów przypomnijmy jedynie postać Albrechta von Ora. W roku 1331, w bitwie pod Płowcami, wzięty został do niewoli i z rozkazu polskiego władcy zgładzony.

Niektórzy historycy niemieccy kojarzyli z tym komturem nazwę Oruni (niem. Ohra), twierdząc (błędnie zresztą), że wywodzi się ona właśnie od jego nazwiska. Zapewne też nieprzypadkowo umieszczono w nadanym Oruni w latach międzywojennych herbie postać Krzyżaka w zbroi.

Zajęty w roku 1454 przez gdańszczan zamek został niemalże doszczętnie rozebrany,

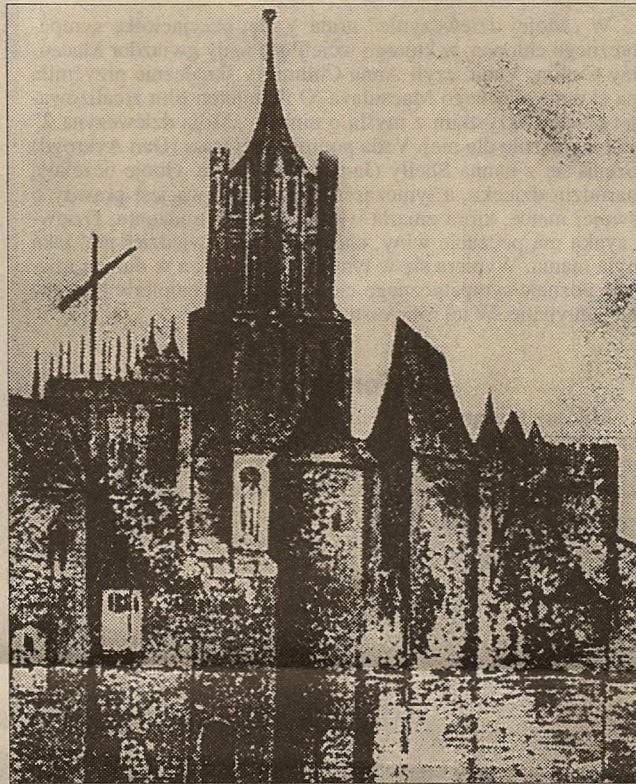
XV wieku. Malowidło to, zdołane jeszcze przed II wojną światową wschodnią ścianą Dworu Artusa zaginęło. Znamy je na szczęście z fotografii. Śladem po zamku jest też spory fragment muru przy ul. Wartkiej, a także oznaczony tamże numerem 8 dom, w którym, przy odrobinie wyobraźni, rozpoznamy ściany starej baszty.

Na pytanie o status opisane-

(niestety bezskutecznie), także przez historyków i archeologów gdańskich, że wymienie choćby doc. Andrzeja Zbierskiego. Chodzi mianowicie o zdjęcie parometrowej warstwy ziemi w rejonie ul. Rycerskiej, gdzie obecnie znajduje się parking i szkoła jazdy, i wyeksponowanie tego, co odkryto podczas przeprowadzonych w latach 50. prac wykopaliskowych. Przypomnijmy, iż zgromadzono w ich wyniku kilkadziesiąt tysięcy przedmiotów pochodzących z najwcześniejszego w dziejach miasta okresu.

O celowości stworzenia tu archeologicznego parku, a raczej skansenu „in situ” - mogącego stać się najwyższej klasy atrakcją, nie tylko naukową, lecz i turystyczną, nie trzeba bodaj nikogo już przekonywać. Pewnym optymizmem napawa fakt, iż z realizacją tego ambitnego przedsięwzięcia nosi się obecny dyrektor Muzeum Archeologicznego w Gdańsku Henryk Paner. Już niebawem placówka, którą kieruje, wzbogaci się o nowy gmach przy ul. Rycerskiej 9. Obiekt ten jest częścią opisanego przed tygodniem w „Kartkach gdańskich” dawnego browaru. Dobiegają końca prace remontowo-adaptacyjne. Nie trzeba dodawać, że takie sąsiedztwo, szczególnie w kontekście zbliżającego się jubileuszu tysiąclecia miasta zobowiązuje. Bądźmy więc dobrej myśli.

Dwukrotnie już zapowiadano w Gdańsku stworzenie u jego kolebki archeologicznego skansenu. Po raz pierwszy z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego, powtórnice zaś w 700-lecie Układu Kępińskiego. Jak dotąd nic z tych planów nie wyszło. Może jednak powiedzie się teraz, zgodnie z zasadą - do trzech razy sztuka.



Fragment zaginionego obrazu *Okręt kościoła z Dworu Artusa w Gdańsku XV-XVI w.*, przedstawiający prawdopodobnie zamek krzyżacki w Gdańsku oraz część portu na Motławie.

(Z zasobów archiwalnych)

teraz zaś, na którym się wznosił zniwelowano. Pewne pojęcie o kształcie budowli dawał jedynie wizerunek krzyżackiej warowni nadmotławskiej utrwalaony (ponoć dość wiernie) na obrazie nieznanego mistrza „Okręt kościoła” z 2 poł.

go tu obszaru miasta w najbliższej przyszłości, odpowiedź może być tylko jedna. Teren ten musi zacząć przyciągać turystów. Trzeba powrócić do koncepcji prof. Konrada Jądzewskiego z roku 1958, ponawianej w następnych latach



## KARTKI GDAŃSKIE

**Przy okazji robót ziemnych związanych z budową arterii komunikacyjnej biegnącej przez Gdańsk z zachodu na wschód, a koncentrujących się ostatnio w rejonie ulicy Łąkowej, wyszło na jaw, jak ciekawy był to w przeszłości obszar miasta. Świadczą o tym choćby liczne artefakty. Znalaziono tu sporo pochodzących z minionych wieków przedmiotów codziennego użytku, takich, jak naczynia ceramiczne, wyroby z kości, metalu i rogu, gliniane fajeczki, a także stare kafle piecowe. Szkoda, że jedynie niewielka częśćka tych znalezisk trafiła w ręce muzealników.**

Ulica pierwotnie nosząca zupełnie inną nazwę, istniała już co najmniej w połowie XVII wieku. Dolne Miasto było w owym czasie terenem nie tylko mokrym i grząskim, lecz również dość niebezpiecznym. Nic dziwnego, że niechętnie się tam osiedlano. Kępiaste okolice służyły przede wszystkim do wypasu koni, bydła i trzody. Pobliskie Długie Ogrody, nim jeszcze stały się jedną z piękniejszych części Gdańska, nosiły w średniowieczu nazwę „Świńskie Łąki” - odpowiadającą w pełni charakterowi i przeznaczeniu tej połączy gruntów.

Sytuacja zasadniczo zmieniła się w pierwszej połowie XVII wieku, gdy obszar, o którym mowa znalazł się po stronie wewnętrznej solidnych fortyfikacji ziemnowodnych o gwiaździstym układzie. Mimo to okolice dzisiejszej ulicy Łąkowej długo jeszcze przypominały raczej pastwisko, aniżeli

obszar zamieszkały przez rzemieślniczą ludność.

Niemniej już z górą trzy wieki temu istniała tu karczma, w której aż do ubiegłego stulecia zarzymywali się żuławscy gospodarze, kiedy przybywali w dni targowe do Gdańska z drobiem, nabiałem i warzywami.

Dzisiejsza ul. Łąkowa biegła zatem wzdłuż starych kanałów odwadniających i w pobliżu wspomnianych szańców obronnych. Zanim ów grząski teren zmeliorowano na tyle, by można było wznosić solidniejsze kamienice, małowniczości dodawały mu wierzby. Stąd też zapewne najstarsza nazwa tego traktu „Weidengasse” - mająca w języku niemieckim więcej wspólnego z pastwiskiem i wierzbą właśnie, aniżeli z łąkami. Zresztą jeszcze przed rokiem 1814 cały ten trakt dzisiaj zwany Łąkową, dzielił się na kilka części tworzących uliczki takie, jak: Trzciniowa, Łabę-

# O czym szumią wierzby

dzia, Tylna, Lipowa oraz Wierzbowa. Trudno wyobrazić nam sobie, że ich środkiem biegł (aż do połowy XIX wieku) szeroki rów odwadniający.

Pierwszym większym zakładem, który powstał tu już w roku 1820 była rafineria cukru. Wkrótce uruchomiono też fabrykę wyrobów tytoniowych, zaś zastosowanie maszyn parowych przesądziło o dynamicznym rozwoju obu zakładów.

Warto też pamiętać o tym, że w latach 40. ubiegłego stulecia na terenie Dolnego Miasta produkować zaczęto broń. Przeniesiono tu bowiem z Oliwy zakłady militarne noszące nazwę Królewska Fabryka Broni. Warsztaty te wraz z fabryką karabinów należały przed I wojną światową do najnowocześniejszych zakładów przemysłowych w Gdańsku i zatrudniały ponad półtora tysiąca pracowników. Wielu robotników pracowało też w trzech tutejszych odlewniach żelaza i fabryce maszyn.

Dolne Miasto należało więc sto lat temu do najbardziej uprzemysłowionych, a zarazem i zmilitaryzowanych części Gdańska. Świadczą o tym zachowane do dziś wielkie kompleksy fabryczne i koszarowe.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku uruchomiono linię tramwajową łączącą ulicę Łąkową z Długim Targiem, a poprzez Promenadę (obecnie ul. 3 Maja) także z ówczesnym dworcem kolejowym. W tym samym czasie wzniesiono rów-

nież neoromański gmach drugiego w Gdańsku państwowego gimnazjum humanistycznego.

Dziś wszakże większość gdańszczan kojarzy ulicę Łąkową z tamtejszym szpitalem. Jego pierwszą siedzibą był XVIII-wieczny dworek Uphagenów. Około roku 1850 nabył go od poprzednich właścicieli Gotfryd Teodor Kuhn - dobroczyńca, który podarował wkrótce obiekt siostrom boremuszkom. Pierwszych pacjentów umieszczono tu już w roku 1853, lecz wnet okazało się, iż w starym zaadaptowanym na szpital pałacyku nie sposób po-

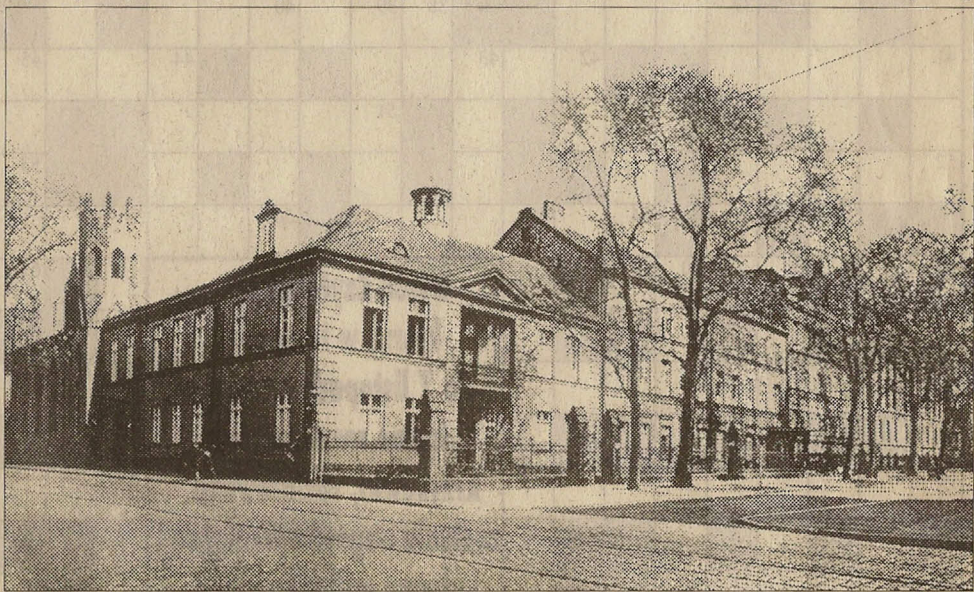
mieścić wszystkich potrzebujących lekarskiej opieki. Zatem dobudowano (od strony dzisiejszej ulicy Kieturakisa) okazały zespół neogotyckich budowli. Znalazł w nich pomieszczenie również sierociniec, zaś w latach 1857-1960 powstała także kaplica mająca służyć zakonnicom oraz chorym.

W Szpitalu Najśw. Marii Panny odbywał roczny staż asystencki (1904) świeżo upieczony medyk dr Aleksander Majkowski - najwybitniejszy pisarz kaszubski, przywódca Młodokaszubów i autor znakomitej powieści „Życie i przy-

gody Remusa”. Tutaj dnia 7 marca 1942 roku zmarł w opinii świętości ks. bp Konstantyn Dominik, także rodowity Kaszuba, który być może już wkrótce wyniesiony zostanie na ołtarze.

Przylegającą do szpitala niewielką świątynię o wyjątkowo ciekawej, neogotyckiej bryle (od 1949 roku będącą kościołem parafialnym mieszkańców tej części Dolnego Miasta) konsekrował w roku 1894 ówczesny biskup Leon Redner z Pelplina. W dniu 20 grudnia br. minie dokładnie sto lat od tamtego wydarzenia.

Jerzy Samp



Ulica Łąkowa. Zdjęcie z okresu międzywojennego.